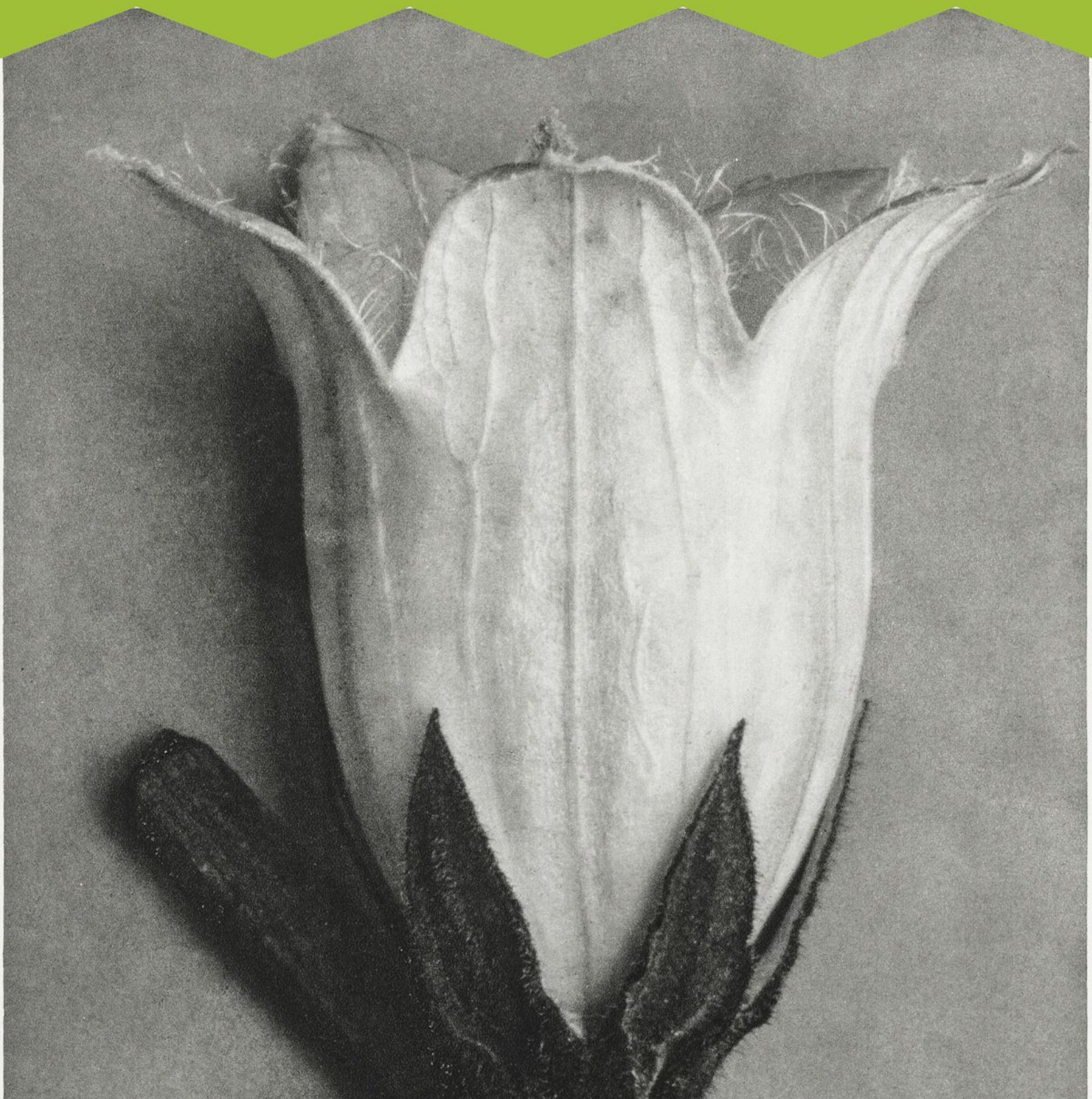


# Reformy w wychowaniu moralnym



IZABELA MOSZCZEŃSKA-RZEPECKA

## *Reformy w wychowaniu moralnym*

ODCZYT PUBLICZNY

Gdy chłopiec kończy lat 14, coraz częściej obją się o jego uszy natarczywe pytanie: „Czym będziesz?”.

W nieszczęsnym tym pytaniu, którym od początku nauki nieraz dręczyliśmy dzieci nasze i które je w całym ciągu życia szkolnego prześladowało, zawiera się niewypowiedziane męcząca, gorączkowa troska rodzicielska o losy dziecka, nieodłączna od rodzicielskiej miłości gwałtowna chęć przewidzenia i uprzedzenia przyszłych wypadków, nadania przyszłości dziecka pewnego, z góry zamierzonego kierunku, tak aby w chwili, gdy nieuchronną losu koleją zostanie samo na świecie, własnym siłom pozostawione, ojciec i matka spokojnie zamknąć mogli oczy, pewni, że dziecko ich, raz wstąpiwszy na daną drogę, pójdzie po niej równo i gładko.

A jednak, ileż razy ta nadzieja, ta nieraz tak trudno zdobyta pewność — złudna się okazuje!

Bo cóż właściwie mieści się w tym pytaniu: „Czym będziesz?”, do czego ono zmierza? Ot, po prostu do tego, by wybrać dla chłopca najprzód odpowiednią szkołę średnią, potem, o ile zdolności i chęci starczą, taką szkołę wyższą lub specjalną, która by mu dała dyplom, patent, świadectwo wystarczające dla zdobycia kawałka chleba i przyzwoitego w życiu stanowiska.

Na tym dyplomie lub świadectwie, na otrzymanych cenzurach<sup>1</sup>, a wreszcie na fachowej umiejętności buduje się całą przyszłość dziecka. Tysiącrotne, bolesne nieraz doświadczenia nie nauczyły nas jeszcze, że to podstawa tak krucha jak lód marcowy, że fachowe uzdolnienie i stemplowane tego uzdolnienia dowody są tylko bronią, są tylko jednym z narzędzi, którym człowiek w walce życiowej posługiwać się może, jeżeli się nim posługiwać umie, jeżeli ma dzielne ramię i wzrok bystry, głowę jasną i odwagę w sercu; że ono wreszcie jest całkiem bezużytecznym w życiowej wędrówce bagażem dla tego, kto je zdobył kosztem sił fizycznych i umysłowych, kosztem moralnej energii i zdolności do życia.

Z pomocą tego świadectwa młodzieniec nie zdobędzie ani jednego życiowego postęunku, nie zwalczy i nie przełamie żadnej zapory, nie zapewni szczęścia sobie, nie przyuczni go drugim, a głównie nie obroni się przed sobą samym, nie odniesie zwycięstwa w żadnej wewnętrznej walce i może pozostać całe życie tak bezsilny, bezbronny i bezradny jak maleńkie niemowlę.

I cóż mu z tego przyjdzie, że umie chorych osłuchiwać i recepty pisać, że umie plany budowli lub mostów rysować, że zna wszystkie zawilości prawa rzymskiego i miejscowego, jeżeli nie umie żyć? Albo co gorzej, jeżeli nie ma siły, odwagi, ochoty do życia?

Tej sztuki nie nauczy go ani uniwersytet, ani politechnika, najuczeńszy profesor nie wyłoży mu jej arkanów, najbogatsze laboratorium nie odkryje mu jej zagadki. Rodzicielska troskliwość lub ofiarność społeczna może go przeprowadzić przez szkoły, ale szkoła nie zrobi go jeszcze człowiekiem.

Kokolwiek inaczej rzecz się przedstawia, gdy chodzi o dziewczęta; inaczej o tyle, że mniej mamy złudzeń i mniej też może doznajemy zawodów.

Wprawdzie i dziewczętom coraz częściej stawiamy analogiczne pytanie, ale je zwykle formułujemy inaczej. Rządziej „Czym będziesz?”, częściej zaś pytamy: „Co będziesz robiła,

Szkoła, Dziecko

<sup>1</sup>cenzura — tu daw.: świadectwo szkolne. [przypis edytorski]

gdy dorosisz?”), już przez sam układ zdania zaznaczając, że zdobyta zdolność fachowa ani o wartości, ani o przyszłości naszej córki w oczach naszych nie stanowi.

Chodzi nam po prostu o to, czy znajdzie zarobek i jaki, jeśli go potrzebować będzie.

Choć nie wypowiadamy tego ostatniego zastrzeżenia, to jednak w duszy powtarzamy je zawsze, nigdy nie wyrzekając się nadziei, że może patent nauczycielski, że może świadectwo ze szkoły handlowej okażą się dla naszych córek niekoniecznie potrzebne. Cieszą nas i u nich dobre cenzury i stopnie, ale cieszy nas więcej ich rozkwitająca młodość, ich wdzięk i towarzyskie przymioty.

Gdy chodzi o synów, liczymy na szkoły, gdy chodzi o córki, liczymy na pomyślnie okoliczności, ale nigdy nie liczymy na własne dzieci, myśląc o ich przyszłości.

I słusznie! Bo czyż wiemy, czym są nasze dzieci, co się w ich duszach dzieje, jakiego to rodzaju są ludzie, jak żyć chcą i jak żyć umieją? Do czego dążą, jak żyć pragną i jakimi środkami upragnione cele zdobywać chcą i mogą? Wiemy tylko, że nasze dzieci się uczą, a jak się uczą i czego, wskazują nam cenzury.

Reszta jest wielką niewiadomą i dla nas, i dla nich samych.

Przecież i one nie wiedzą, jak żyć będą, bo one wcale żyć nie próbowały. Po prostu nie mają na to czasu. Wstają rano, idą do szkoły, wracają, jedzą obiad i (w najlepszym razie) po godzinie przechadzki zabierają się do przygotowania lekcji, a potem, jeśli lekcja muzyki, konwersacji w obcych językach lub tym podobne reszty dnia nie zabiorą, po krótkim wypoczynku, mniej lub więcej hałaśliwym i ruchliwym, z książką pod poduszką idą spać.

Ale ślęczeć nad książkami, czytać i pisać, odrabiać zadania i wydawać lekcje<sup>2</sup> to nie znaczy żyć! Z przeżuwania cudzych myśli i z zewnątrz, przez pośrednictwo książek, zdobytych wiadomości, z gimnastyki umysłowej i naukowych popisów składa się minimalna część życia dorosłego człowieka. Naszym dzieciom zabierają one dzień po dniu. Na szczęście mamy dni świąteczne, wakacje, czasem nawet bardzo długie. Wszystko, co dzieci wtedy robią, nie bierze się w rachubę; jest to dla nas mniej więcej obojętne, o tyle, o ile my jakoś mamy spokój, o ile nam w drogę nie wchodzi.

Z chwilą otrzymania cenzur dzieci nasze wolne są od wszelkich obowiązków i mogą się bawić, jak chcą, byleby po wakacjach znowu zabrały się do pracy i uczyły się równie dobrze.

Czy one umieją tego wolnego czasu używać, czy go tylko zabijać, czy zabawa ich siły wyrabia, czy trwoni, czy stosunki koleżeńskie rozwijają w nich instynkty społeczne, czy tylko przymioty towarzyskie, lub przeciwnie, może nawet zmysł eksploatacji drugich, zdolność wzajemnego ogłupiania się lub bezmyślnego naśladowania, któż by w to wglądał?

Z chwilą, gdy szkoła oddaje nam dzieci, i my również abdykujemy; praca wychowawcza zostaje nieomal zupełnie zawieszona.

Dzieci bawią się i odpoczywają. Po pilnej nauce mają do tego prawo. Choćby stawały na głowach, na cóż im tego bronić?

Ale czy ojcowie i matki nie wiedzą, że bawiąc się, można robić coś znacznie gorszego niż stawać na głowach?

Skąd się biorą następnie w dzieciach naszych szkodliwe popędy, zgubne namiętności, nieuleczalne wady, czemu przypisać zanik charakterów, brak energii, brak altruistycznych i społecznych instynktów, apatię, bezmyślność, samolubstwo, grzeszny oportunizm, niedołęstwo i kręctwo, fałsz i błąd, nierzetelność, chciwość, okrucieństwo, i to nawet u takich ludzi, którzy w szkołach mieli zawsze piątki ze sprawowania?

Któż to wie?

Nie nauczyciele, bo oni zawsze, jak zaręczają, sądzili sumiennie i przyznawali piątki tylko tym uczniom, którzy na lekcjach zachowywali się cicho i impertynencją<sup>3</sup> względem zwierzchności szkolnej nie pokalali swej uczniowskiej opinii.

Nie rodzice, bo ci pilnie śledzili stopnie w cenzurach i karali za każdą dwójkę, a w domu powtarzali ciągle: nie hałasuj, nie psoć, nie sprzeciwiaj się siostrze, nie drzyj ubrania, nie przeszkadzaj ojcu, nie grymasz przy obiedzie, ucz się — słowem, robili, co mogli.

<sup>2</sup>wydawać lekcje (daw.) — recytować przed kimś zadany materiał lekcyjny; por. wydawać głos. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>impertynencja — aroganckie, obraźliwe zachowanie. [przypis edytorski]

Szkoła, Dziecko, Nauka,  
Czas, Dzieciństwo

Dziecko, Zło, Nauka,  
Szkoła, Obraz świata

A jednak dziecko się popsulo! Któż je popsul? Świat, to znaczy cały zbiór zewnętrznych okoliczności, nieprzewidywanych, ale dających się przewidzieć, tych samych zresztą, które innemu dziecku nie przeszkodziły do wyrobienia się na dzielnego i zacnego człowieka.

Świat jest wielkim chaosem złych i dobrych przykładów, przerażających i pocieszających odkryć, mądrych zasad i przewrotnych poglądów, doświadczeń i katastrof życiowych, budujących i brudnych wrażeń.

W ten wielki zamęt sprzecznych żywiołów puszczamy nasze dzieci. Co z niego mają czerpać, co odrzucić, do czego łgnąć, od czego odwracać się ze wstrętem, kto ich tego nauczy? Może profesor historii lub łaciny? Może matematyk lub przyrodnik?

Nie liczymy na to! Wszystko, czego się dzieci nasze w szkole nauczyć mogą, może być przydatne w życiu, może być nawet niezbędne, ale z nim bezpośredniego związku nie ma.

Ani losy Cezara lub Napoleona, ani żadna matematyczna łamigłówka nie pouczą naszego syna, jak się ma zachować względem zwierzchników lub kolegów w biurze, względem dłużników i wierzycieli, służby domowej lub dzieci własnych.

Nawet taka, wprost na życie skierowana, bezpośrednio oddziaływanie na charakter mająca na celu nauka, jak nauka religii i moralności, sama przez się jeszcze czystości duszy i zacności czynów nie gwarantuje, a nie gwarantuje dlatego, że jak inne szkolne nauki jest tylko teorią, każda zaś teoria na życiową praktykę może oddziaływać, ale nie zawsze oddziałuje.

Trzeba sobie to doskonale uprzytomnić i do głębi się przejąć tym przekonaniem, że każdy nauczyciel, nie wyłączając księdza katechety, odpowiedzialny może być tylko za to, co sam mówi i robi w klasie, ale nie za to, jak się jego słowa i uczynki w umyśle uczniów i w ich sercu odbijają. Jego słowa i jego postępowanie mogą być tylko jednym z czynników, z których dziecko urabia nastrój swej duszy lub swe stałe usposobienie, ale roli kierowniczej odegrać nie mogą.

Nie mogą tym bardziej dziś, gdy mając po kilkadziesiąt uczniów w jednej klasie, a po kilkuset w każdej szkole, nauczyciel, przy największym talencie pedagogicznym, nie może przeniknąć ani nastroju umysłu każdego ucznia, ani pobudek jego postępowania.

I kiedyż może być pewny choćby i ksiądz katecheta, czy ten lub ów uczeń, słuchając jego wykładu, myśli o konieczności cnót, czy o ponętnych stronach przeciwnych im grzechów? Czy nęci go powab dobrych uczynków i pośmiertna za nie w niebie nagroda, czy tajemnica zawarta w niejasnej formule jednego z przykazań?

Wszystko to są tylko — słowa, słowa, słowa. Ponieważ zaś w życiu decydującą rolę grają nie słowa, lecz czyny, więc do życia nie przez słowa, lecz przez czyny przygotować się trzeba.

Szkoła daje w tym kierunku bardzo małe pole; przez niezbędną karność, przez stały regulamin i porządek (z innej strony nawet bardzo cenny czynnik w wyrabianiu charakteru) normuje ona i normować musi tak szablonowo i życie, i postępowanie uczniów, że wprost zamyka sobie wstęp do wewnętrznych tajników ich duszy, i na czysto zewnętrznych rezultatach poprzestawać jest zmuszona. Poznaje tylko ich stronę bierną, nie poznaje czynnej; ocenia posłuszeństwo, nie widzi inicjatywy.

To, co stanowi stały nastrój człowieka, jego wewnętrzną harmonię lub dysharmonię, dźwignię moralną, zakrój charakteru, sumienie, drugą naturę — zbiór niewzruszonych, w życie wcielanych zasad i nawyków — to dać mu powinien i może tylko *dom rodzinny*, i to wyrabiać się w nim musi znacznie wcześniej, niż on do szkoły pójdzie, znacznie wcześniej, niż czytać zacznie.

Dobre nawyki, zdrowe zasady, czyste uczucia, szlachetne chęci, wszystkie życiowe i moralne siły rosnąć muszą razem z dzieckiem, rosnąć w nim i rozwijać się razem z jego mózgiem, nerwami, mięśniami. Ono nie powinno uczyć się ich na pamięć, ani nawet czysto rozumowo, ale nimi oddychać, nimi nasiąkać, w nich żyć, tak jak musi żyć w czystym powietrzu, jeśli ma mieć płuca zdrowe.

Tylko taka moralność, która wsiąknie w krew, stanie się jego własną, tak jak własny jest jego system nerwowy, może być dla rodziców gwarancją, że ich dziecka świat nie zepsuje i życie nie złamie.

Do nabycia tej moralności prowadzi tylko jedna droga — przyzwyczajenie. Jak nauki

Słowo, Religia, Nauka,  
Cnota, Grzech, Czyn

Szkoła, Uczeń, Kondycja  
ludzka

Rodzina, Dom, Dziecko,  
Cnota, Czyn

Dobro, Cnota, Grzech,  
Sumienie, Rozum, Religia,  
Słowo

przyswajamy sobie przez pracę umysłową, tak cnoty wyrabiamy przez nawyknięcie, które dla charakteru jest tym, czym pamięć dla umysłu.

Dlatego to właśnie w wychowaniu moralnym żadna teoria, religijna czy bezwyznaniowa, nigdy w najmniejszym nawet stopniu nie zastąpi praktyki. Nie dość na tym, dodam jeszcze, że z wszelkimi teoriami moralnymi należy postępować niezmiernie ostrożnie, jest to broń obosieczna i czasem więcej szkody niż pożytku przynosi.

Zarówno rozumowane wykłady o różnych grzechach i cnotach, jak zwłaszcza wszelkie wypracowania na tematy moralne, a nareszcie wzory kaligraficzne zawierające piękne sentencje mogą niekiedy tylko odnieść ten skutek, że dzieci oswajają się z czczymi frazesami i umieją się nimi zręcznie posługiwać.

Jeżeli rozejrzemy się po świecie i przekonamy się, ile to już wzniosłych zasad spłowiło i zwietrzało wskutek ciągłego wywieszania ich na rynek, ile wspaniałych hasel sprofanowano wypisywaniem ich na szyldach nad pierwszym lepszym kramikiem, jak wskutek tego trudno jest już dziś wypowiedzieć słowo, które by struny serc ludzkich targnęło i dobyło z nich dźwięk silny i czysty — zrozumiemy, jak szkodliwym chwastem właśnie na polu życia moralnego są puste morały.

Zdaje się, że na tę niebezpieczną drogę wchodzi obecnie szkoła francuska. Szkoły świeckie, rywalizując z klasztorami, dążą do tego, by jak największy nacisk kłaść na naukę moralności. Tą moralnością drukowaną i pisaną przesycają wszystkie podręczniki, nie wyłączając podręcznika do zadań arytmetycznych. Ćwiczenia stylowe, gramatyczne, kaligraficzne, wypisy, wykłady historii pełne są sentencji moralnych, a nauczyciele cieszą się, że moralność przenika całe nauczanie.

Nie pomijają nawet i praktyki. Uczniowie stale zachęceni bywają do dobrych uczynków wszystkimi środkami, jakimi szkoły rozporządzają. W niektórych istnieje np. księga złota, do której wpisywane bywają dobre uczynki uczniów, uczynki stwierdzone zeznaniem dwóch świadków i podpisem mera<sup>4</sup>.

Niechaj nam ten obrazek ze szkoły francuskiej posłuży za przykład, co może dla wychowania moralnego zrobić system szkolny. Mimo najlepszych chęci kończy na moralnym faryzeizmie<sup>5</sup>.

Nie myślę bynajmniej twierdzić, ażeby teoria i rozumowanie nie miały mieć w wychowaniu moralnym żadnego zastosowania. Przeciwnie, wiem dobrze, że moralność zwyczajowa, moralność bezwiedna i automatyczna wystarcza tylko na powszednie życiowe stosunki, lecz zawodzi tam, gdzie w zmienionym położeniu nową drogę wykreślić sobie lub wybrać potrzeba. Moralność musi być świadoma, musi być myśląca i samodzielna, więc i dzieci od najwcześniejszych lat muszą się uczyć myśleć o tym, co złe i dobre, między jednym i drugim rozróżniać.

Tego tylko strzec należy usilnie, aby dzieci, rozumując, rozumowały *nie o słowach, lecz o faktach, o rzeczach przeżytych lub co najmniej żywo odczuty*.

Niech się uczą zastanawiać nad tym, co robią same lub co się wobec nich dzieje, nad cierpieniami, błędami i krzywdami ludzkimi, nad tym, co łyzy wyciska, śmiech lub radość budzi, nad tym, co drogie i upragnione lub co wstrętne i odrażające — ale nie nad napisaniem wzruszającego wypracowania na rzymską piątkę. Cnota powinna być dla nich świętością, którą się ani bawić, ani popisywać nie wolno.

W jaki zatem sposób uczyć dzieci dobrego?

Odpowiedź prosta: *przyzwyczajając* do dobrego postępowania!

Dzieci powinny nabierać wprawy w dobrych uczynkach, począwszy od najwcześniejszego dzieciństwa, a nakłaniać je do tego można nie tyle nawet przez słowną zachętę, ile przez przykład i sugestię.

Mówiąc o dobrych uczynkach, nie mam wyłącznie na myśli uczynków miłosiernych, lecz w ogóle zacne i szlachetne postępowanie.

W tym kierunku robi się w rodzinie stanowczo za mało, a to, co się robi, robi się przeważnie źle.

Na razie zaznaczę tu jeden błąd wychowawczy. Nieomal cały kodeks moralny dziecka

Dobro, Zło, Dziecko,  
Nauka, Rozum, Słowo,  
Czyn

Cnota, Dobro

Dziecko, Dobro, Zło,  
Nauka, Słowo, Czyn

<sup>4</sup>mer — przewodniczący rady miejskiej lub gminnej we Francji. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>faryzeizm — tu: postawa fałszywej pobożności, obłudy i hipokryzji, połączona z zadufaniem w sobie. [przypis edytorski]

na wzór kodeksu prawnego złożony jest z samych przeczeń: „Nie krzycz”, „Nie grymas”, „Nie bij siostry”, „Nie dokuczaj słudze”, „Nie niszc ubrania”, „Nie psuj zabawek”, „Nie budź taty” itd., itd.

Oto mniej więcej przykazania, które staramy się od rana do wieczora utwierdzać w głowie dziecka. Jeżeli zaś zmęczony ciągłymi zakazami malec zbliży się do mamy i spyta: „Co mam robić?”, nieraz usłyszy w odpowiedzi: „Nie nudź mnie”. Więc znowuż przykazanie w formie przeczącej!

Ta moralność zatem, którą dom od najwcześniejszego dzieciństwa w nas wpaja, jest prawie wyłącznie negatywna i to póty, póki nie wejdziemy w okres szkolny, kiedy to posłyszemy po raz pierwszy przykazanie pozytywne: „Ucz się”.

Cały ten system opiera się na najzupełniejszej nieznajomości natury dziecka i przeczy jej najelementarniejszym potrzebom.

Tkwi w niej przede wszystkim potrzeba ruchu i potrzeba czynu. Dziecko chce żyć, swą energię życiową na zewnątrz wyczerpywać; jeżeli my, oddziaływając na nie, przeciwstawimy mu same hamulce, a nie nastęcimy żadnej podniety, bezwarunkowo wywołamy opór, sobie i jemu utrudniając zadanie. Jeżeli władza nasza rodzicielska zasadzać się będzie na samych ograniczeniach i zaporach, stanie mu się ona równie niemila, jak i zasady, w imię których działa. Może nawet zmusimy dziecko do uległości i posłuszeństwa, ale zmusimy zewnętrzną powagą zamiast skłonić wewnętrznym przekonaniem.

Pomijamy i przeoczamy fakt pospolity, który niezmiernie łatwo sprawdzić się daje, że otwierając dziecku pożądane pole działalności i pożądaną sferę zainteresowania, od razu, bez wysiłku powstrzymać możemy działalność szkodliwą i zainteresowanie zgubne. Nie o to chodzi, żeby nieustannie dzieckiem kierować, cały plan jego zajęć mozolnie układać i systematycznie wykonywać, lecz o to, by w każdej epoce życia wzmacniać w nim i potęgować wszystkie pobudki uczciwego postępowania i pożytecznego zatrudnienia.

Czyż byłoby rzeczą tak trudną np. zamiast mówić „Nie bij siostry” lub „Nie sprzeciwiaj się siostrze”, powiedzieć czasem: „Prawda, że kochasz siostrzyczkę? Zrobisz jej przysługę, a sobie przyjemność, jeśli jej pomożesz ułożyć zabawki albo pokażesz jej i objaśnisz obrazki, albo opowiesz jaką historię”?

Skutek osiągniemy znacznie lepszy i bez porównania łatwiej. Najprzód dlatego, że działając na dodatnie uczucia dziecka (np. na przywiązanie do rodzeństwa i ambicję uczynienia czegoś pożytecznego), potęgujemy je, następnie i dlatego, że uczucia najlepiej się wyrabiają i utrwalają przez działanie pod ich wpływem, a wreszcie i dlatego jeszcze, że skłaniając dzieci do usług wzajemnych, wpływamy dodatnio na jedno i drugie zarazem, na jedno przez zachętę, na drugie przez dobry przykład, zmniejszając już przez to samo ilość przyczyn powodujących kłótnie i spory.

System pozytywnego wpływu, okazany na tym przykładzie, zastosować się da we wszystkich kierunkach moralnego wychowania w miejsce dziś ogólnie panującego systemu negatywnego. Wyższość jego w każdym wypadku na tych samych opiera się podstawach.

Dużo się mówi o panowaniu nad sobą, lecz ludzi umiejących nad sobą panować widzimy stosunkowo bardzo mało.

Dlaczegoż się tak dzieje?

Zdawałoby się, że system wychowania moralnego do obecnej pory stosowany powszechnie, choćby inne cnoty odlogiem pozostawiał, tę jedną rozwijać powinien.

Wszędzie to wszystko, co się liczy na karb dobrego postępowania dzieci, jest prawie wyłącznie i jedynie owocem panowania nad sobą, tak zwanej karności, tak ogólnie cennego posłuszeństwa. Jak grzecznymi dziećmi są w naszych oczach takie, które do tego stopnia hamują swe naturalne skłonności, że ich prawie wcale w domu nie znać, tak wzorowym uczniem jest właściwie wobec sądu nauczycieli ten, o którego postępowaniu nie ma nic do nadmienienia, tj. ten, który wszystkie swe uczynki ściśle według regulaminu normuje!

Nie wymagamy nieomal niczego innego prócz panowania nad sobą. A jednak rezultaty są w ogóle liche.

Dzieje się tak po prostu dlatego, że zasadę panowania nad sobą bierzemy czysto formalnie, nie wnikając w jej treść.

Grzeczność, Dziecko

Czy chodzi tu o to, żeby tłumić i unicestwiać wszystkie wrodzone instynkty, panować nad przywiązaniem do matki, upodobaniem do porządku, zamiłowaniem do matematyki?

Bynajmniej! To znaczy tylko dawać stale przewagę swoim dobrym skłonnościom nad złymi. Jeżeli zaś nic nie czynimy dla spotęgowania, rozwinięcia i ustalenia skłonności dobrych, jeśli zamiast uczynić z nich dla dziecka stałą wewnętrzną dźwignię moralną, zawsze podstawiamy w jej miejsce zewnętrzną podporę naszych praw i przepisów, naszej woli i nakazów, to w czymże ono ma znaleźć oparcie, w czym siłę do zwalczania swego gorszego ja, gdy nasza władza i opieka ustana?

Pośpieszam dodać: prawa i przepisy są konieczne, ważne, niezbędne, powinny być nawet stałe i niewzruszone — ale pozostaną zawsze tylko środkiem tymczasowym.

Trzeba o tym zawczasu już pamiętać, by przygotować w duszy to, co je z czasem zupełnie zastąpić musi — *dobrą wolę — sumienie*.

A zatem trzeba w dziecku od pierwszych chwil życia wyrabiać sumienie, tj. stałą miarę moralną do ocenienia wszystkich swoich i cudzych uczynków, własnych ukrytych intencji i społecznych zjawisk.

Taką miarę moralną stanowić muszą pewne ogólne, niewzruszone zasady, w świetle których na świat patrzemy; nie zasady drukowane, pisane, wygłaszane, lecz zasady wcielane w życie, słowa, które stają się ciałem! Jeżeli dziecko ma się nimi przejąć, zgodnie z nimi żyć, musi zawczasu przywykać do tego, że one nie są martwą literą, musi się wciąż z nimi w praktyce, w wykonaniu spotykać.

Nie to, co starsi mówią, lecz to, co robią, jest dla dziecka nauką życia.

Ale tu zjawia się najpoważniejsza trudność.

Bo naprawdę, czy my chcemy, aby nas dzieci naśladowały?

Czy mamy takie żyjące w czynach, nie w słowach wyrażane i stwierdzane zasady? Czy one życiem naszym rządzą?

Niestety, nie!

Życiem naszym w ogóle rządzą pewne ustalone zwyczaje, czasem bardzo bezmyślne, czasem bardzo niedorzeczne i szkodliwe, a zawsze będące po prostu owocem naśladownictwa. Robimy to, co drudzy — a drudzy to, co my. Nie postępujemy ani tak, jak nam każe religia, ani tak, jak każe prawo, ani tak, jak nakazuje rozum i uczucie — ale tak, jak „się postępuje” w danym wypadku.

Weźmy pierwszy lepszy przykład. Jakiś porywczy człowiek wymierzy nam policzek. Religia każe nam wybaczyć, prawo pozwala skarżyć o czynną obrazę, rozum nakazuje ukarać albo unikać danego indywiduum.

Ale my robimy co innego. Stajemy na mecie<sup>6</sup> i pozwalamy mu strzelać do siebie. Dlaczego? Bo tak się robi. Jest to tylko trochę dosadniejszy przykład spośród tysięcy innych, analogicznych.

Nieokreślone, nieosobiste „tak się robi” jest naszym jedynym i wyłącznym przykazaniem, rządzi nami. Każe nam czasem być dobrym, rzetelnym, uczciwym, miłosiernym, a czasem złym i okrutnym. Świadczy ono o tym, jak wielka jest potęga zwyczaju i przykładu, i powinno być dla nas ostrzeżeniem, że tylko przez przyzwyczajanie i przykład charakter naszych dzieci urabiać możemy.

Tam, gdzie jakiegoś ustalonego zwyczaju nie ma, lub też w wypadkach, których do powszedniej normy przymierzyć nie można, postępowanie nasze jest dziełem przypadku, chwilowego porywu, dobrego natchnienia lub ślepego popędu. I tym się to może właśnie tłumaczyć, że ludzie ucywilizowani i porządni przeniesieni w sferę odmienną od tej, w której wzrosli, w inne kraje lub niezwykle stosunki, tak szybko zrzucają z siebie zewnętrzny pokost<sup>7</sup> cywilizacji i przestają być porządni. Tym się też może wyjaśnia, że jakkolwiek niepomyślny zbieg okoliczności, pierwsza lepsza próba życiowa lub co gorsza, przełom, od razu wytrąca z równowagi, wykoleja, doprowadza do rozbitcia.

Gdybyśmy chociaż w obrębie tych codziennych, powszechnie panujących zwyczajów, mogli się ćwiczyć konsekwentnie w jakichś drobnych cnotach, to mielibyśmy jaką ta-

Dziecko, Sumienie, Czyn

Obyczaje, Prawo, Religia

Falsz, Rodzina, Dziecko

<sup>6</sup>meta (daw.) — tu: wyznaczone miejsce końcowe podczas pojedynku na pistolety, znajdujące się w określonej odległości od pozycji przeciwnika. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>pokost — wytwarzana z oleju szybko schnąca substancja do pokrywania powierzchni drewna; daw.: lakier; tu przen. [przypis edytorski]

ką gwarancję, że dzieci, naśladowując nasze postępowanie, wyrobią w sobie przynajmniej w pewnym kierunku niewzruszoną zasadę, która im się na coś przydać może.

Ale tak nie jest, zwyczajnie nasze pełne są sprzeczności i urągających wszelkiej logice zestawień, a co najmniej połowa naszych postępów przeczy zasadom, które rozumem i słowami wyznajemy.

Sama ta niezgodność zasad i czynów już jest złym zwyczajem, który podkopuje wszelką budowę charakteru, jest rozdźwiękiem, fałszem — i właśnie ten fałsz dzieci najszybciej podpatrzą i najłatwiej się nim przejmują. Dajemy im do tego tysiące okazji.

A zatem chcąc zreformować wychowanie moralne naszych dzieci, musimy przede wszystkim poddać krytycznej rewizji nasze własne postęпки, nasze ideały moralne, czynami wyznawane, i musimy wypłenić z nich fałsz. Będzie to rzeczą trochę trudną, gdyż, niestety, fałszem przesiąknięte jest nasze życie.

Kłamiemy czynem i słowem, miną i ubraniem. Kłamiemy dla uniknięcia niebezpieczeństwa lub dla utrzymania dobrej o sobie opinii, dla zjednania sobie życzliwości ludzkiej lub dla wprawienia ich w dobry humor, dla oszczędzenia kilku groszy na sprawunku lub kilku rubli na bilecie kolejowym; przez ostrożność, przez grzeczność, przez przyzwoitość, przez tchórzostwo lub chciwość, przez współczucie i przez wyrachowanie, przez błagę i próżność — kłamiemy zawsze i na każdym kroku.

Dzieci nasze wprawdzie strofujemy i karzemy za kłamstwo. Ale cóż to pomoże? Bez względu na nasze kary i napomnienia, robić będą to, co wszyscy, co mama, tata, goście, sługi, to, co „się robi”.

I nie to wreszcie jest smutne, odrażające i przerażające zarazem, że w jakiejś drobnej, obojętnej okoliczności ktoś się od nas prawdy nie dowie, lecz to, że wskutek przyzwyczajenia kłamstwo żadnej nie robi nam różnicy, że nam nie sprawia najmniejszej trudności mówić nie to, co jest prawdą, ale to, co nam na razie potrzeba.

Wskutek zwyczaju bezmyślnie kłamiemy nawet tam, gdzie i rozsądniej i pożyteczniej byłoby powiedzieć prawdę.

Weźmy drobny przykład. Przychodzi do mnie gość nie w porę, na przykład, gdy mam pilną, niedającą się przerwać pracę. Dlaczegoż zamiast ogólnie przyjętego: „Pani nie ma w domu” nie miałabym zakaż powiedzieć: „Pani jest zajęta i z nikim widzieć się nie chce”?

Rozsądny człowiek nie obrazi się o to, a nierozsądnych gości pozbędę się tym skutecznie. Dając taką odpowiedź, wyrażam zarazem szacunek i zaufanie dla tych, co mnie odwiedzają, wierę w to, że pracą mą uszanują, a ze słowami mymi liczyć się będą.

W praktyce jest to na pozór drobnostka, ale i ona już okazuje ujemne skutki kłamstwa, które podkopuje przede wszystkim ufność wzajemną między ludźmi, szacunek dla drugich i szacunek dla samego siebie. Kto kłamie, ten się albo boi, albo wstydy; i jedno, i drugie jest uczuciem poniżającym i oswaja nas z własną miernotą moralną. Kłamstwo przeczy odwadze i znosi poczucie moralnej odpowiedzialności, osłabia nasze dobre skłonności, a złym zapewnia bezkarność.

Gdybyśmy nie umieli kłamać, gdyby mówienie *nieprawdy* sprawiało nam wprost fizyczną trudność i przykrość, liczylibyśmy się ściślej z postępkami i myślami naszymi. Doznawalibyśmy takiego samego uczucia wstydu i upokorzenia na myśl o popełnionym kłamstwie, jak dziś na myśl o kłamstwie wykrytym. Lękalibyśmy się własnego sądu nie mniej niż sądu ludzi, szanowalibyśmy siebie nie mniej niż opinię publiczną, mielibyśmy odwagę własnych czynów, byłibyśmy sobą w każdej chwili życia naszego, a niezasłużenie odbierane pochwały bolałyby nas bardziej niż niewinnie znoszona obmowa, bolałyby nas jak popełnione oszustwo.

Mieć odwagę własnych czynów i śmiało za nie przyjmować odpowiedzialność, być sobie samemu sędzią i panem, świadomie rządzić sobą i sobie sprawiedliwość wymierzać — to znaczy mieć *charakter*.

Chcąc dzieci nasze takim charakterem uzbroić, powinniśmy zatem przede wszystkim przyzwyczajając je do prawdy.

Pierwszym i niezbędnym krokiem w tym celu byłoby przestać je okłamywać.

Jest rzeczą wprost zdumiewającą, jak niesumiennie w tym względzie postępujemy wobec własnych dzieci. Nic nas to nie kosztuje ludzić je kłamliwymi obietnicami, straszyc pogróżkami, które się nigdy spełnić nie mają, oszukiwać dla żartu, dla zabawienia

Kłamstwo, Rodzina,  
Obyczaje, Dziecko

Kłamstwo, Lenistwo,  
Obyczaje

Kłamstwo

Odwaga, Czyn,  
Sprawiedliwość

Dziecko, Rodzina,  
Kłamstwo



się ich naiwnością, odpowiadać lichu skleconą bajeczką na ich najpoważniejsze pytania, wszelkimi sposobami wyzyskiwać ich dziecinną łatwowierność.

Mamy przed sobą istotkę słabą, bezbronną, nieświadomą; ona zwraca się do nas z bezgraniczną ufnością, szczerą, prostą, wolną od wszelkich podejrzeń, widząc w nas uosobienie mądrości i siły, źródło wszelkiego światła i wszelkiej wiedzy, a my bez zająknięcia się, bez rumieńca wstydu — okłamujemy ją!

Nie umiemy uszanować w dziecku człowieka, a w sobie świętości rodzicielskiego powołania.

Niektóre kłamstwa wobec dzieci stały się wprost systemem, bardzo zgubnym i szkodliwym systemem, na którego usprawiedliwienie zresztą nic innego nadmienić nie można, jak to, że jest on ogólnie przyjęty,

Jakże naturalna, jakże zrozumiała jest ciekawość dziecka, które zwraca się do matki z pytaniem, skąd się ono znalazło na świecie albo skąd przyszło na świat jego rodzeństwo. Na to całkiem poważne pytanie, którego żaden rozwijający się zdrowo umysł dziecięcy pominąć nie może, odpowiada się dziecku jakimś niedorzecznym żartem o bocianie na przykład. Dlaczego? Czy istotnie mamy to przekonanie, że dziecko prawdy się nigdy nie dowie i że nas na popełnionym kłamstwie nie złapie? Czy mamy zamiar kiedykolwiek, w jakimś z góry oznaczonym terminie kłamstwo odwołać i powiedzieć: „Słuchaj, póki byłeś mały, zbywałam cię byle czym, ale teraz powiem ci naprawdę, jak się rzeczy mają?”

Broń Boże! Wiemy doskonale, że sekret się nie utrzyma, że prędzej czy później dziecko nasze prawdę odkryje, ale jak i kiedy — o to nie troszczymy się bynajmniej. Nie śmiemy się nawet pytać ani dowiadywać.

Okłamaliśmy dziecko, zawiedliśmy jego zaufanie, z góry przygotowani na to, że ono nigdy nie powróci. Systematycznie z zasady oszukiwane przez własną matkę, nigdy nie przyjdzie już do niej po wyjaśnienia, po sprostowanie otrzymanych skądinąd informacji. Owocem naszego *pierwotnego* kłamstwa będzie w umyśle dziecka przekonanie, że mama kłamała, bo się wstydzi — wstydzi się tego, że je na świat wydała, że jest jego matką.

*Kłamstwo* zraża ufność dziecka i w oczach jego poniża matkę; profanuje i plami najświętsze węzły, jakie ludzi z ludźmi łączą: przywiązanie macierzyńskie i cześć synowską. Wprowadza ono od razu fałsz i rozdźwięk w stosunki rodzinne i jest pierwszym zarodkiem tego wprost przewrotnego sposobu traktowania najważniejszych spraw życiowych, które wszystkie nasze stosunki moralne zatruwa.

Jakże inny charakter przybrałby cały stosunek dziecka do matki i cały jego moralny nastrój, gdyby na pierwsze takie pytanie swoje odebrało odpowiedź ogólnikową może, lecz zgodną z prawdą, wraz z obietnicą dalszych informacji i z zastrzeżeniem, aby nigdy z kim innym prócz matką o danej kwestii nie rozmawiało.

Zamiast nieprzełamanej zapory nieufności i podejrzeń wzajemnych powstałaby między nimi nowa spójnia poważnej tajemnicy, a stosunek fizyczny z matką tak ściśle w umyśle dziecka skojarzyłby się ze stosunkiem duchowym, ze wspomnieniem jej opieki i poświęceń, jej troskliwości i przywiązania, mądrości jej słów i świętości jej czynów, że nigdy by już nie mógł się stać przedmiotem grubych żartów i koleżeńskich poufnych szeptów.

Prócz tego dziecko począwszy od pierwszego brzasku rozumu nauczyłoby się rzeczy poważne traktować poważnie, aby kiedyś na węzły rodzinne nie patrzyć ze stanowiska pieprznej operetki i dwuznacznych dowcipów, lecz z punktu widzenia czystych i budujących wspomnień pierwszego dzieciństwa, i to właśnie byłoby dla niego na całe życie nieocenioną zdobyczą moralną.

To pierwsze niebaczne, lekkomyślne i grzeszne kłamstwo popełniane przez rodziców względem dzieci jest bardzo znamienitym objawem całego naszego porządku, a raczej nieporządku moralnego, opartego na hipokryzji i fałszu, tego porządku, w którym zewnętrzna przyzwoitość zastępuje do głębi serc przenikającą moralność i jest bardzo wygodnym parawanem najgrubszego zepsucia.

Skromność każe nam milczeć o złu, na które codziennie patrzymy, lecz nie pozwala mu zapobiegać; skromność każe nam symulować nadludzkie cnoty i tolerować nieludzkie występki. Przyzwoitość nakazuje pani domu za niemoralne prowadzenie się wyrzucić na bruk młodą służkę, którą uwiódł może ktoś z bardzo porządnymi i mile w domu widzianymi ludźmi, zmusza tę służkę, by dziecko swe ukryła u jakiejś fabrykantki aniołków, która je głodem zamorzy, a nie wzbrania innej pani przyjąć ją do domu jako mamkę.

Matka, Dziecko, Narodziny,  
Seks, Kłamstwo, Obyczaje,  
Wiedza, Ptak

Kłamstwo, Dziecko,  
Rodzina, Obyczaje, Fałsz,  
Zło

Kobieta, Kobieta "upadła",  
Sługa, Dziecko, Obyczaje

Ileż smutnych i bolesnych sprzeczności w tym małym obrazku?! A jednak któż zaprzeczy, że jest on dosyć pospolity, że „tak się robi”?

I jakżeż wymagać, jakże się spodziewać możemy, by dzieci nasze wśród tego chaosu wprost sprzecznych i zwalczających się zasad same sobie drogę obrały, nie zachwiały się na niej i nie upadły? Czy dajemy im wskazówki i jakie? Czy tłumaczymy im życie, w które wstępują?

Broń Boże! Całą ich moralność zasadzamy na nieświadomości, czyli na przypadku.

We wszelkich innych kwestiach naukowych i praktycznych nie szczędzimy im wskazówek. Gdyby się przekonano, że dziecko nasze, dorósłszy, nie wie, że jadąc do Anglii, trzeba się przeprawiać przez morze, oskarżono by nas o karygodne zaniedbanie jego wychowania.

Nikt jednak nie wymaga od nas, byśmy naszej dorastającej córce powiedzieli, że chcąc być matką, trzeba przejść przez cierpienie, a naszemu synowi, że chcąc mieć zdrowe dzieci, trzeba swoją młodość szanować. A przecież prawdopodobieństwo, że dzieci nasze zwiedzą Anglię, jest względnie niewielkie, podczas gdy posiadamy niemal pewność, że przyjdzie chwila, gdy zapragną stworzyć sobie własne ognisko rodzinne.

Chwila ta przewidywana przez nas, dla nich powinna zostać tajemnicą, niespodzianką, katastrofą, czasem bardzo smutną katastrofą, dzięki naszemu karygodnemu niedbalstwu!

Synom naszym dajemy milczące pozwolenie na robienie odkryć i wynalazków na własną rękę. Księgę zaś naszych doświadczeń i obserwacji życiowych wstydliwie i skromnie zamykamy przed nimi. Świadomość złego i dobrego czerpią oni u najmniejszych źródeł; wiemy o tym i zamykamy na to oczy.

Wiemy i o tym, że niejeden z nich, puszczonej tak bezbronny na fale życiowe, tonie, zanim od brzegu odbije, wiemy, że pośród nas snuje się mnóstwo takich młodych rozbitków, którzy stracili siły, odwagę i chęć do życia, zanim żyć zaczęli, że świat, ten świat, w którym dla nich nie ustawiliśmy żadnych drogowskazów, okradł ich na samym wstępie z całego ich życiowego bogactwa, zrabował im wszystkie skarby ich młodości, poniżył lot ich ducha, zbrudził ich młodą wyobraźnię, wyziębił im serca, odebrał im wiarę w siły własne i wiarę w przyszłość, w błocie pogrążył to, co powinno było być dla nich świętą relikwią i talizmanem szczęścia.

Tego wszystkiego jesteśmy świadomi, a jednak ryzykujemy. Gdyby synowi groziło na przykład zarażenie się szkarlatyną<sup>8</sup>, pobladłby ojciec i struchlałaby kochająca matka, a oboje otoczyliby go gęstą siecią środków ochronnych i zapobiegających, byle tylko zdrowie i życie jego uratować. Ta przesadna nieraz pieczołowitość i ostrożność milknie tam, gdzie chodzi nie tylko już o życie syna, lecz i o to, co życiu temu wartość nadaje. Dajemy im swobodę, lecz dołączamy do niej nieświadomość, która wprost ujemnie tylko jej daje znaczenie. Jest to swoboda dziecka pozostawionego na otwartym oknie trzeciego piętra z poleceniem: „Baw się”.

Tak też bawią się nasi chłopcy, ryzykując skręcenie karku. Im samym już się przykrzy ta zabawa i zaczyna ich przerażać. Coraz częściej z kół młodzieży samej odzywają się głosy skargi i głosy tęsknoty za jakimś odrodzeniem moralnym.

Może by chociaż teraz ojcowie i matki z pomocą im przyszli?

Cokolwiek inaczej traktujemy wychowanie moralne naszych dziewcząt. Wprawdzie i im także nie tłumaczymy i nie objaśniamy życia, i im także przed żadnym nie ostrzegamy niebezpieczeństwem, ale nie dajemy im tej co chłopcom swobody.

Na straży ich cnoty stawiamy nie ich własny rozum i charakter, nie ich świadomą swego celu i dróg wolę, lecz najprzód ścisły dozór nauczycielek, a później konwenans światowy. Uczymy ich w pierwszym rzędzie wszystkiego się lękać i ze wszystkim ukrywać. Ażeby odpowiedzieć naszym moralnym ideałom, muszą stłumić wszystkie swe wrodzone instynkty, począwszy od chęci przewracania koziołków i drapania się po płotach, aż do wyznania miłości, które im się ciśnie na usta wobec ukochanego człowieka.

Kształcimy je niby to na żony i matki, ale nie pozwalamy im nawet domyślać się, co to znaczy być żoną i matką; jeżeli zaś się domyślają, trzeba przede wszystkim, aby się z tym

Seks, Dziecko,  
Dzieciństwo, Rodzina,  
Wiedza, Nauka, Seks

<sup>8</sup>szkarlatyna — płonica, ostra choroba zakaźna wieku dziecięcego, której towarzyszy czerwona drobna wysypka na całym ciele. Przed upowszechnieniem penicyliny po II wojnie światowej szkarlatyna była najczęstszą chorobą wieku dziecięcego o bardzo ciężkim przebiegu, jej śmiertelność wynosiła 25%. [przypis edytorski]

nigdy w żadnym wypadku nie zdradziły. Systematycznie i mozolnie wyrabiamy w nich w ciągu całej ich młodości takie cnoty, których się na zawołanie w ciągu 24 godzin pozbyć będą musiały, i wytwarzamy w ich umysłach takie pojęcie o życiu, które z rzeczywistością najmniejszego nie ma związku.

Ich wartość moralną, ich cnotę traktujemy nie jako rzecz zależną od ich wewnętrznej treści, od ich uczuć i myśli, z ich postępowaniem związaną i z niego wynikającą, lecz jako okoliczność zewnętrzną uwarunkowaną sytuacją towarzyską, położeniem rodziców, uprzejmością i szacunkiem znajomych.

Wiersz Kochanowskiego o cnotce, której nie wydrze nieprzyjaciół srogi, nie spali ogień, nie zabierze woda, nie odnosi się do naszych kobiet. Nie tylko „nieprzyjaciół srogi”, ale przyjaciel podstępny wydrzeć ją może, plami ją i nadweręża nie to, co same robią, lecz głównie to, co o nich mówią.

I dlatego to dziewczęta wychowujemy w pobożnej bojaźni przed opinią ludzką, stawiając je nieustannie od pierwszego dzieciństwa wobec strasznego pytania: „Co ludzie powiedzą? Co o tobie pomyślą?”

Tym sposobem pielęgnujemy w nich starannie dwie kardynalne zalety: próżność i obłudę. Przyzwyczajamy, by się nigdy nie przyznawały do niczego — ani do swych pragnień, ani do swych zamiarów, ani do liczby lat, ani do ilości wprawionych zębów.

Kobieta, która mówi prawdę, a zwłaszcza, która mówi prawdę o sobie, jest i dziś jeszcze poniekąd unikatem, i to unikatem budzącym raczej śmiech niż podziw. Wychowanie moralne naszych dziewcząt jest to sztuczna hodowla sfinksów<sup>9</sup>, tym osobliwszych, że nie tylko trudno je zrozumieć, lecz i one same siebie nie rozumieją.

Nie dzieje się to przypadkiem, ale dla zasady.

Zasada ta jednak nie jest właściwa, choćby dlatego, że w obecnych warunkach w żaden sposób utrzymać się nie da. Od chwili, gdy kobietom dano naukę, gdy zażądano od nich pracy, niepodobna im przeszkodzić żyć i myśleć, i to myśleć nie tylko o estetyce, literaturze lub buchalterii, ale także o stosunkach życiowych.

Ich nieświadomość, ich naiwność jest coraz większym fałszem, a ich nieprzystosowanie do rzeczywistych warunków wywołuje coraz większy rozdźwięk w ich duszy. Zaopatrzone w cnoty zbyteczne, nieuzbrojone w konieczne i niezbędne, nie umieją się przystosować do otoczenia i stąd powstaje pewien niesmak do życia i niesmak do samych siebie. Ileż z nich żałuje, że się porodziły kobietami!

A czyż to jest naturalne, czyż to jest pożądanego?

Czyż byłoby to tak powszechne, gdyby one umiały być sobą i gdyby świat nauczył się ich kobiecą indywidualność szanować? Jakżeż często powstaje wstręt do małżeństwa i do macierzyńskich obowiązków u najdzielniejszych i najbardziej myślących jednostek kobiecych, u tych, którym by ich potomstwo najwięcej życiowych bogactw zawdzięczać mogło!

Dwoiste wychowanie, którego treściwy obrazek skreśliłam, jest ściśle związane z panującym *systemem podwójnej moralności*.

Jakkolwiek system ten jest takim teoretycznym absurdem i fizyczną niemożliwością, że z konieczności wywołuje moralność potrójną, a raczej tolerowany i uznany występek jako swe dopełnienie, to jednak otoczony jest tak ogólną czcią i zawarowany tak niewzruszonym zwyczajem, że potrzeba dużej dozy odwagi, by go krytykować.

W uznaniu tego systemu dzielimy dziś już wszystkie cnoty na *męskie i kobiece*, coraz bardziej naturalnie dział kobiecy bogacąc i w nadmiarze gorliwości wprowadzając tę podwójną buchalterię nawet do książeczek dla dzieci i młodzieży. Jeden ze znanych na polu literatury dziecięcej autorów wygłosił z całym namaszczeniem taką naukę moralną:

Brzydko, gdy chłopcy kłamią, ale stokroć gorzej  
I smutniej tacie i mamie,  
Kiedy serce dziewczynki do kłamstwa się wdroży,  
Kiedy dziewczynka kłamie.<sup>10</sup>

<sup>9</sup>*sfinks* (mit. gr.) — skrzydlaty potwór o głowie kobiety i tułowiu lwa, zadający zagadki i pożerający tych, co nie umieli na nie odpowiedzieć; symbol tajemniczości, przenośnie: zagadkowa istota. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>*Brzydko, gdy chłopcy kłamią, ale stokroć gorzej...* — początek wiersza dla dzieci *Kłamstwo brudzi*, autorstwa Władysława Bełzy (1847–1913). [przypis edytorski]

Gdybyż chociaż na książce napisano, że nie można jej dawać do ręki chłopcom!

Zazwyczaj dwoistość tę staramy się usprawiedliwiać uwagą, że natura dziewcząt i chłopców jest odrębna i tej odrębności w wychowaniu zacierać nie należy; potocznie się wyrażając, że chłopcy chłopcami, dziewczynki dziewczynkami pozostać powinny. Niewątpliwie natury ich są odmienne, i to tak dalece, że my nawet mimo najszczerzej chęci nie moglibyśmy ich zrównać. Nasza rozczulająca opieka nad prawami przyrody jest zupełnie zbyteczna. Czyż potrzeba na to specjalnych starań i zabiegów, żeby z ziarnka grochu nie wyrosła przypadkiem róża?

Właściwie przy obecnym systemie wychowania odrębność obu płci jest raczej teoretycznie uznanym pewnikiem niż praktycznie stwierdzoną prawdą. Hodując różnice sztuczne, nie możemy wiedzieć dokładnie, jak objawiłyby się różnice naturalne, gdybyśmy im się swobodnie rozwinać pozwolili.

Jedyną drogą do gruntownego zbadania w tym, jak i w wielu innych wypadkach może być doświadczenie i obserwacje czynione na jak największej ilości osobników. Należałoby zebrać bardzo wielką ilość spostrzeżeń nad dziewczętami i chłopcami, rozwijającymi się w podobnych zupełnie warunkach i wykazać dopiero, o ile odmiennie manifestują się ich skłonności naturalne, gdy im się swobodnie objawiać dozwolimy.

Do takich spostrzeżeń obecnie zupełnie nie mamy pola, gdyż zwyczajem powszechnym i utartym jest, iż wychowawcy sami akcentują w postępowaniu swoim *a priori*<sup>11</sup> przyjęte różnice, zanim wychowawcy mają sposobność zdradzić się z nimi.

Zarzucić by można, że celem wychowania nie jest wzbogacenie nauki, lecz rozwój pomysły dziecka, że szczęścia jego dla eksperymentów poświęcać się nie godzi, że pedagogia jest środkiem jedynie i że ona wychowawcom, a nie oni jej służyć powinni, a przeznaczenie kobiety tak różne jest od przeznaczenia mężczyzny, że dla szczęścia obojga i kierunku ich wychowania odmienny być powinien.

Istotnie na wszystkie te uwagi zgodzić by się można, z pewnym co do ostatniej zastrzeżeniem. Przeznaczenie kobiety na wielu punktach odmiennie jest od przeznaczenia mężczyzny, jednakże na wielu jest takie samo i kto wie, czy tych ostatnich nawet nie jest więcej.

Dalej jeszcze należałoby wykazać, czy wychowanie, jakie chłopcy i dziewczęta dziś odbierają, odpowiada istotnie celowi, czy usposabia ich do życia dalszego, czy wreszcie różnica w postępowaniu wychowawców przyczynia się do szczęścia jednej i drugiej połowy rodzaju ludzkiego.

Nie zapominajmy przecież, że między dwiema odmianami ogólnego gatunku „człowiek” zachodzą i fizycznie także tylko różnice, a nie przeciwieństwa, a jak organizm kobiety nie mniej niż mężczyzny potrzebuje światła, ciepła, powietrza i żywności, spoczynku i ruchu, tak też i natura moralna kobiety w głównych zarysach ma też same co i mężczyzny potrzeby.

Nie przeceniajmy więc tych przyrodzonych różnic i prowadząc młode pokolenie, stosujmy się tylko do ich naturalnych potrzeb, zbaczając w miarę konieczności na prawo lub na lewo, lecz nie popychając ich w dwóch wprost przeciwnych kierunkach, pomnąc<sup>12</sup>, że przecież w interesie ogólnego dobra drogi ich jak najczęściej łączyć i schodzić się muszą.

Mówiąc o przeznaczeniu mężczyzny i kobiety, zapominamy zbyt często o bardzo pospolitym fakcie i o najelementarniejszym prawie, tj., że natura przede wszystkim skazała ich na wspólne pożycie. Świat męski i żeński nie stanowią dwóch odmiennych społeczeństw, lecz zlewają się w jedno, nie są to dwa wrogie obozy, lecz jedna i ścisła organizacja, którą wspólność celów i ogólnych przeznaczeń łączy, a tylko pomniejsze rozdzielają cechy.

Jeżeli płonne byłoby usiłowanie zatarcia tych różnic i nikt pragnąć nie może ani zniechęcenia mężczyzny, ani też zmęzczyźnienia kobiet, to natomiast zaostrenie kontrastów, wytwarzanie się sprzeczności, których natura nie stworzyła, wydrążanie przepaści tam, gdzie jak najwięcej mostów stawiać by należało, tłumaczyć się może tylko dziwnym jakimś zaślepieniem.

Kobieta, Mężczyzna,  
Dzieciństwo, Natura,  
Erotyzm, Obyczaje, Fałsz,  
Wiedza

Kobieta, Mężczyzna,  
Kondycja ludzka

Kobieta, Mężczyzna, Natura

<sup>11</sup>*a priori* (łac.) — z góry, z założenia. [przypis edytorski]

<sup>12</sup>*pomnieć* (daw.) — pamiętać; *pomnąc*: pamiętając. [przypis edytorski]

Dążeniem wychowawców powinno być, zarówno ze względu na indywidualne szczęście, jak i na ogólne dobro społeczeństwa, nadanie chłopcom i dziewczętom takiego kierunku, aby o ile możliwości jak najlepiej rozumieli się wzajemnie i jak najłatwiej ze sobą zgadzali.

Nie obawiamy się zbyt mocno o ztratę cech wrodzonych, natura oszukać się nie da; krępować ją, aby się nie wykoleiła, jest rzeczą zbyt częstą.

Nie uprzedzajmy — przeciwnie, pozwólmy, aby nam sama odkryła swe tajemnice, a wtedy większą uzyskamy pewność, że nie sprzeniewierzymy się jej prawom. Dotychczas łatwiej nam przeciw niej grzeszyć, gdyż zamiast jej słuchać, sami dyktujemy jej swą wolę i dalecy od wspierania przyrodzonego porządku rzeczy, usilną naszą pracą obracamy na utrzymywanie nieustannej walki dwóch żywiołów.

Istotnie, w obecnych zwyczajach leży, że od samego już urodzenia traktujemy chłopców i dziewczynki w ten sposób, jakbyśmy ich chcieli sobie wzajemnie jak najbardziej obcymi uczynić. Od urodzenia niemal utwierdzamy dzieci w tym przekonaniu, że dziewczynka i chłopiec to zupełnie niepodobne do siebie i niemające ze sobą nic wspólnego istoty, od pierwszych chwil rozbudzenia się umysłowego dzieci nasze czują, że wprost odmiennym podlegają prawom, że co uchodzi jednemu, potępiają u drugiego, i na odwrót.

Trudno przewidzieć, jakie korzyści wychowanie z tego systemu odnieść może. Cóż zyskujemy na przykład na podsycaniu w dziewczętach próżności, którą karcimy w chłopcach, na tolerowaniu niedołęstwa, podczas gdy od ich braci wymagamy przede wszystkim, aby sami radę sobie dawali.

Słyszając tu i ówdzie jeszcze uwagi, że dla dziewczyny każda porcja nauki jest aż nadto wystarczająca, widząc to systematyczne rozpieszczanie, wydelikacanie, ochranianie córek obok hartowania synów, przypuszczać by można, że istnieje gdzieś jakieś ministerium<sup>13</sup> opieki nad głupimi i niedołącznymi kobietami.

Wiadomo jednak, że przeglądając najstaranniej wszelkie możliwe wykazy instytucji krajowych i zagranicznych dla dobra ludzkości stworzonych, nigdzie z żadną podobną spotkać się nie można; mężowie zaś w obecnych czasach zbyt wiele mają do czynienia, aby się podobnej podejmować misji, wreszcie, jak się przekonamy, zupełnie nie posiadają kwalifikacji odpowiednich do tego.

Postęp, jaki się dokonał w ciągu bieżącego stulecia na korzyść kobiet, choć niewiele zmienił ich położenie, na wychowanie przynajmniej w pewnych kierunkach dodatnio oddziałał. Dziś już dość powszechnie przyjęta jest zasada, że rozum, pracowitość, energia, nauka nie szpecą i nie wykolejają kobiety, lecz czynią ją pożyteczniejszą społeczeństwu. Większa część zalet, niegdyś jako monopol wyłączny płci silnej uważana, dziś już i w kobiecie ceniona bywa, i ani lekkość, słabość i chwiejność woli, ani też bezmyślność i czulostkowość nie są niezbędnym warunkiem jej doskonałości.

Zapewne, że praktyka nie zawsze z zasadami w zgodzie pozostaje i że w teorii może niejedno jeszcze czas udoskonaleni, niemniej jednak znacznego bardzo na tym polu postępu zaprzeczyć nie można.

Dlaczego, gdy wychowanie siostr w nową, udoskonaloną weszło fazę, w wychowaniu braci żadnych równoległych zmian nie zaprowadzono? Dlaczego z postępu pojęć jedynie dziewczęta korzyść odnosić mają, podczas gdy chłopcy rozwijają się jeszcze na takich zasadach, jak gdyby w poglądach ogólnych żadna nie zaszła różnica?

Jeżeli uznaliśmy, że niektóre dawniej specjalnie męskie zalety są zaletami ogólnoludzkimi i kobiecie również bardzo przydać się mogą, zróbmy jeszcze krok dalej i zastanówmy się, czy między tymi cnotami, które wyłącznie kobietom polecano, nie znalazłyby się i takie, które i dla mężczyzn pewną wartość przedstawiają.

Już to przede wszystkim zbyt wcześnie wpajamy w dzieci przekonanie, że mężczyzna dlatego tylko, że się mężczyzną urodził, jest jakąś wyższą, uprzywilejowaną istotą. Wpływa to naturalnie niekorzystnie na dziewczęta, lecz nieporównanie więcej demoralizuje chłopców, przyzwyczajając ich do myśli, że może istnieć wyższość nie na osobistej zasłudze oparta. Równocześnie słyszą oni nieraz, że chłopcu uchodzi wiele rzeczy takich, na które nie pozwala się jego siostrze, co znowu utwierdza ich w przekonaniu, że ich wyższość z moralną wartością nic wspólnego nie ma. I tak: synowi wolno być zarozumia-

Kobieta, Obyczaje,  
Przemiana

Kobieta, , Mężczyzna,  
Dzieciństwo, Obyczaje

<sup>13</sup>ministerium (daw.) — ministerstwo. [przypis edytorski]

lym, szorstkim, opryskliwym, nieporządnym, hałaśliwym, niezgrabnym i gwałtownym, podczas gdy córkom zalecamy skromność, łagodność, porządek i dobre maniery.

Nie wiem, czy ludzkość dużo straciłaby na tym, gdyby malcy nie tłukli szklanek, nie rozbijali mebli, nie bili swych siostr i umieli być uprzejmi, gdyby wyrostki nie dzierali nosów i nie wdawali się w niemądre przechwałki; gdyby młodzi panowie nie słynęli z tzw. kawalerskiego nieporządku, który do rozpaczki doprowadza ich matki, żony i siostry; wreszcie gdyby mężczyźni umieli zapanować nad złym humorem i wybuchami gniewu, nie zatruli życia swemu otoczeniu.

Łagodność i cierpliwość jest niezmiernie potrzebna kobiecie, zgoda na to, ale dlaczego tylko kobiecie? Czy dla mężczyzny życie nie ma żadnych przeciwności? Czy los ściele jego drogę samymi kwiatami? Czyż mężczyzna nigdy nie choruje, nie cierpi choćby na ból zębów? Nie doznaje żadnych utrapień? Czyż wreszcie nieraz nie jest zmuszony czekać wytrwale, pracować mozolnie?

Zapewne cierpliwość i łagodność doprowadzona do ostateczności przechodzi w ślamazarne niedołęstwo i przed tą ostatecznością należy mężczyzn jak najusilniej chronić, ale czyż ślamazarne niedołęstwo i kobiecie szkody nie wyrządza? Wszak to ono czyni, że słabe matki psują dzieci swoje, że niezaradne gospodynie trwonią, same nie wiedząc na co, pieniąż przez męża zapracowany, że pozwalają się oszukiwać, okłamywać, wyzyskiwać, okradać, a wreszcie za nos wodzić, na czym ani mąż, ani dom, ani dzieci nic nie zyskują.

Czy to wyłączone zalecanie cierpliwości dziewczętom wynika stąd, że natura lepiej je do niej usposabia? Bynajmniej!

Wiadomo przecież, że przeciętne kobiety wrażliwsze i więcej nerwowe są od mężczyzn. Otóż wrażliwość i nerwowość są to warunki, które kształcenie cierpliwości niezmiernie utrudniają. Wiadomo również, że ułatwia je wyższy rozwój umysłowy, utarło się nawet wyrażenie „brać na rozum”, które doskonale maluje wewnętrzny proces, jaki się w człowieku wobec przeciwności dokonuje.

Otóż, chcąc w kobietach cierpliwość wyrabiać, należy w nich właśnie najusilniej kształcić władzę, która tej pracy wewnętrznej sprzyja, przez co niezmiernie zadanie im ułatwimy.

Z drugiej strony, gdy w mężczyznach rozum cenimy wysoko i nad rozwojem jego pracujemy, wymagamy, aby z niego i w tym kierunku korzyść osiągnęli i posługiwali się nim do opanowania nierozsądnych wybuchów.

Specjalne znaczenie tych dwóch cnót kardynalnych dla kobiety wynika jedynie ze zwolnienia od nich mężczyzny, przez co uczyniliśmy go dla niej tak nieznosnym, iż jedynie przez olbrzymie panowanie nad sobą godzić się może z losem, który ją do niego przykuwa.

Zdanie to bynajmniej nie jest paradoksem, choć się nim pozornie wydaje.

Wiem, że w pewnej epoce życia pociąg naturalny zawiązuje nici sympatyczne między osobnikami płci różnej i sprawia, że mężczyźni i kobiety pragną zbliżenia się wzajemnego. Jest to tylko dowodem, że najfalszywiej nawet skierowane wychowanie praw natury przełamać nie może, choć może je paczyć, krzyżować i w miejsce naturalnych zdrowych warunków wytworzyć ułomne i kalekie.

Wychowanie, jakie obecnie istotom obu płci dajemy, sprawia, że ich wzajemny pociąg na jak najkruchszych, jak najlichszych opiera się czynnikach; jest też w większości wypadków chwilowym zwycięstwem zmysłów nad duchem i trwa przerażająco krótko.

Przypatrzmy się tylko dziewczętom i chłopcom w epoce poprzedzającej dojrzałość, to jest wtedy, kiedy ów naturalny pociąg nie rozbudził się jeszcze. Czyż można zaprzeczyć, że między tymi dwoma dziecinnymi światami najzupełniejsza niechęć panuje? Wydelekone, nadmiernie roztkliwione, rozpieszczane, a przy tym wystrojone dziewczynki patrzą na swych braciszków lub znajomych jak na bandę zbójów, czatujących jedynie na to, aby je kulakować<sup>14</sup>, wyśmiewać, a przy tym pognieść ich sukienki i włosy im wytargać. Chłopcy widzą w nich znowu jakieś niemądre cacka do niczego niepotrzebne, lalczki śmieszne w swej pretensjonalności i jak wszystkie lalki dopiero wtedy zabawne, gdy potłuczone. Rodzice i starsi bronią im ze sobą przestawać wzajemnie, obawiając się, aby dziewczynki chłopięcych manier nie nabrały i wykwinnych nie zmarnowały strojów.

Rozum

Natura

<sup>14</sup>kulakować (daw.) — bić, okładać kulakami, tj. pięściami. [przypis edytorski]

Gdyby jednak toalety panienek mniej były wyszukane, a ich nerwy mniej wydelikacyjne, może w towarzystwie rówieśników pozbyłyby się niejednej próżności i z niejednego wyleczyły kaprysy, a wzajemnie wpłynęłyby cokolwiek na ucywilizowanie dzikiego chłopięcego społeczeństwa.

Co się tyczy kobiet, na mocy licznych przykładów twierdzić mogę, że te, które się w towarzystwie braci wychowują, jeśli ich od nich żadnym murem chińskim nie oddzielono, a wiek niezbyt jest oddalony, nie mają ani tysięcznej części tych właściwych kobietom małości, drobnostkowych próżności, zazdrości, pretensji, kaprysów co inne, wyłącznie wśród kobiecego dojrzewające otoczenia.

Coś analogicznego prawdopodobnie dzieje się z mężczyznami. Obie płci we wzajemnym zbliżeniu odnieść mogą ważne bardzo moralne korzyści, jeżeli zbliżenie to nie odbywa się, jak dziś przeważnie, jedynie na gruncie salonowej kokieterii z jednej, a galanterii z drugiej strony.

Zamiast wzajemnego wpływu i porozumienia otwartego jest dziś jeszcze na porządku dziennym gra w chowanego, obustronne zastawianie sidła; zamiast szczerej sympatii drażnienie i bałamucenie, mające na celu nie wyjaśnienie sytuacji, lecz doprowadzenie do zupełnego odurzenia i ślepoty.

Miłość, powiadają, jest ślepa; może jest nie zawsze, gdyby jednak nie była ślepa, nic by zapewne nie skłoniło większości dzisiejszych kobiet i mężczyzn do wiązania się ze sobą na całe życie, na całą przyszłość. Dzisiejszych, mówię, gdyż nie wątpię, że to wszystko, co czyni ich wspólne pożycie ciężkim, trudnym, niebezpiecznym, jest jedynie wynikiem bardzo poważnych błędów obecnego wychowania.

Gdy dwie istoty płci jednej zawiążą ze sobą jakąkolwiek spółkę, postanawiają zamieszkać razem, wspólnie podjąć pewną pracę i zgodnie ją prowadzić, bardzo starannie badają się wzajemnie, czy istnieje między nimi podobieństwo poglądów, dążeń, pojęć moralnych i przyzwyczajzeń. Porządna i spokojna miłująca unikać będzie pożycia z hałaśliwą i do nieładu przywykłą, oszczędna nie wiąże się interesem z marnotrawną, cnotliwa i skromna z niemoralną i luźnych obyczajów, gburowata z łagodną, dobrze wychowana z nieokrzesaną itd.

Gdy jednak mężczyzna i kobieta łączą się nierozzerwalnymi węzłami (ściślejszymi niż jakiegokolwiek inne) wychowanie skazuje ich z góry na domowy antagonizm dwóch sprzecznych żywiołów i sprawia, że każda z nich w swej drugiej połowie spotyka się z objawami niezrozumiałymi, do których jej żadnych nie udzielono objaśnień. Co dla jednego hańbą, dla drugiego przechalką, co dla jednego poniżeniem, to właśnie wyższością drugiego, co jest codziennym nawyknięciem jednej strony, stanowi nieszczęście drugiej.

A jednak czyżby nie można uniknąć tysiąca bolesnych zawodów, przejść i przewrotów moralnych nareszcie, gdyby pojęcia moralne chłopców i dziewcząt na zbliżonych oprzeć zasadach?

Gdyby z jednej strony mniej nadmiernej pruderii i nieświadomości, z drugiej więcej przyzwoitości i delikatności uczuć wyrabiać? Gdyby w pojęcia jednej strony więcej wprowadzić tolerancji, a pojęcia drugiej troszkę uszlachetnić, podnieść i oczyścić?

Nie chodzi mi wcale o przyczernianie obrazu istniejących stosunków. Wiem, że i przy obecnym trybie wychowania spotyka się dość dużo małżeństw zgodnych i przykładowych, że nawet zdarza się widzieć małżeństwa szczęśliwe, czasami nawet tak szczęśliwe, jak mogłyby być w lepszych warunkach wszystkie te, które nie interes, lecz miłość kojarzy.

Któż może twierdzić, że sztuka umiejętnego postępowania z ludźmi żadnemu mężczyźnie na nic się nie przyda? Że takt, delikatność, wyrozumiałość, współczucie psychologiczne nie ułatwiłyby mu nieraz wybrnięcia z kłopotliwej sytuacji? A przede wszystkim przecież, jeżeli w kobiety przeznaczaniu leży zostać żoną, to i mężczyźnie w większości wypadków trafi się być mężem, inaczej nie pojmuję, jak mogłyby kobiety przeznaczenie swe spełnić. Statystyka wykazuje, że dla mężczyzny szanse są jeszcze większe.

Dlaczego, kiedy dziewczętom aż do znudzenia o ich przyszłych mówimy obowiązkach, chłopcom nikt o przeznaczonej im roli nie mówi? Może oni żadnych moralnych kwalifikacji do nich nie potrzebują, są dobrymi mężami z intuicji, z natchnienia?

Gdyby i tak bywało niekiedy, to jednak praktyka okazuje, że trafia się częstokroć inaczej, a ponieważ warunkiem szczęścia małżeńskiego jest nie tylko dobra żona, lecz

Kobieta, Mężczyzna,  
Interes, Małżeństwo,  
Dziedzictwo, Obyczaje

Mężczyzna, Cnota,  
Obyczaje

i mąż dobry, w interesie społeczeństwa należałoby może i z tej strony podeprzeć ową podwalinę społecznych związków — rodzinę.

Ci, co utrzymują, że jedynym obowiązkiem męża jest pracować na rodzinę, zupełnie są podobni do takich, którzy sądzą, że jedynym obowiązkiem żony jest robić rachunki z kucharką i oszczędnie dom prowadzić. Jedni ograniczyć pragną żonę do roli gospodyni, drudzy męża do roli wołu roboczego i zgadzać się chyba muszą w przekonaniu, że małżeństwo jest związkiem wyłącznie na materialnych opartym stosunkach.

Ponieważ większość kobiet wychodzi za mąż i większość mężczyzn się żeni, dlaczego postępujemy w wychowaniu tak, jak gdyby małżeństwo było wyłącznie kobietę obchodzącą instytucją? Dlaczegoż dziewczętom każemy na nie patrzeć poważnie, a chłopcom lekceważyć je pozwalamy? Dlaczegoż dla córek naszych ma ono być powołaniem, dla synów nieprzewidzianym wypadkiem?

Istotnie, mężczyźni młodzi żyją zwykle w przekonaniu, że się nigdy nie ożenią, że byłoby to z ich strony głupstwem, do którego ich chyba zbliżająca się starość i osamotnienie lub też widoki na dobry posąg kuszą.

W rzeczywistości żenią się jednak dość często, dość chętnie, w niezbyt późnym wieku, a nieraz zupełnie bezinteresownie.

Taka niespodzianka trafia się bardzo wielu i tłumaczy się zupełnie wyjątkowymi okolicznościami, niestanowiącymi bynajmniej ostrzeżenia dla drugich, którzy znowu śmieją się z małżeństwa póty, póki się ze swej strony w wyjątkowych okolicznościach nie znajdą. Żenią się dla majątku, czasem dlatego, że im się żywot kawalerski przykrzy lub osamotnienie ich znudzi, jednakże wielu częściej, niżby się sami spodziewali, z miłości.

A jednak ileż razy przez proste nawyknięcie, przez niewykorzeniony nałóg niejeden z nich zrani swą towarzyszkę lekceważeniem tego, co ona czcić przywykła, profanacją jej ideałów, wyśmiewaniem jej najdroższych świętości.

Czy nie oszczędziłoby się obojgu wielu niespodzianek, starc, zawikłań i nieporozumień, gdyby ich kształcono w równym poszanowaniu wspólnego ich przeznaczenia, w tej samej czci dla uczucia, które ma łącznik między nimi stanowić?

Czyby nie należało roli męża przedstawiać chłopcom poważniej, nie z czysto materialnej lub wyłącznie humorystycznej strony?

Czy nie zyskałoby się na tym, że przez głębsze poznanie i szersze uznanie duchowej istoty kobiety mężczyzna umiałby w umysł swojej żony wnikać i w potrzebie nią pokierować?

Czy nie stałby się on dla niej wtedy istotną, moralną, a nie jak dzisiaj wyłącznie prawie materialną podporą? Zyskałaby na tym żona, zyskałyby zaś przede wszystkim dzieci.

Dziś jeżeli który mężczyzna jest dobrym ojcem (a jest ich dość wielu, przyznać należy), to jest nim tylko na mocy bardzo dobrej woli i przez intuicję.

Nikt przecież dotąd chłopców na dobrych ojców nie wychowuje, tak jak się wychowuje dziewczęta na dobre matki, i dlatego też znowu w kierowaniu dziećmi kobiety zdradzają pewną umiętność i konsekwencję, mężczyźni samouctwo wraz z jego błędami, łagodnymi niekiedy przez szczęśliwe natchnienia.

Prawda, że wychowanie spoczywa o wiele więcej w ręku matek niż w ręku ojców, prawda i to, że dzieci z tymi ostatnimi wiele mniej przestają i o wiele mniej podlegają ich wpływowi, żeby jednak usprawiedliwić zupełną ignorancję mężczyzn w tym kierunku, należałoby odjąć ojcom wszelką władzę nad dziećmi i usunąć je absolutnie od ich wpływu.

Zajęty pozadomową pracą mężczyzna osobiście nad wychowaniem swych dzieci pracować nie może, może jednak bardzo często paraliżować dążenie matki, krzyżować jej plany, niekiedy jednym niewłaściwym postępkem zniweczyć mozolną pracę wielu dni, tygodni, miesięcy.

Rzadki jest niezmiernie typ człowieka, który umie właściwie postępki swych dzieci oceniać, nie mówiąc już o stosowaniu odpowiednich środków lub przeprowadzaniu konsekwentnej metody.

Matka karci dzieci, gdy są niegrzeczne — ojciec, gdy mu przeszkadzają, co, jak dobrze wiadomo, nie zawsze chodzi w parze z winą dziecka. Matka napomina, gdy dziecko przewini — ojciec, gdy jest w złym humorze, gdy interesy źle idą, zwierchnicy niełaskawi lub podwładni nieposłuszni; wie on, jakie chce mieć dzieci — ale ona tylko wie, jakie one są istotnie.



Ojciec tworzy dla nich plany na przyszłość, ale nie zna ich naturalnych skłonności i rzadko raczy je uwzględnić. Najczęściej nie ma nawet pojęcia o współczesnych zdobyczach pedagogii, o jej postępie, o ulepszonych metodach i nowych poglądach. O wychowaniu wie tyle, ile z własnego pamięta dzieciństwa, i jeśli był tyle nieszczęśliwy, że go w piątym roku życia książkową zameczano pracą, gorszy się nieuctwem syna, który w tymże wieku swobodnie na drewnianym kijku hasa i o sylabizowaniu nie chce słuchać.

Niekiedy zresztą inaczej się dzieje. Matka kieruje wychowaniem dzieci, a ojciec bawi się nimi w wolnych chwilach i śmieje się z niewłaściwych postępów, poczytując to sobie za niewinny żarcik, jeśli dziecko odrywa od zajęcia, które mu wyznaczyła jego żona.

Niepodobna przecież dzieci wychowywać z dala od ojców i wszelkie odjąć im do nich prawa. Mają oni nie tylko prawo, lecz obowiązek przekazywania im tych cnót i zalet, które sami cenią, zakreślania im kierunku w życiu i wspierania ich rozwoju.

Jest nie tylko ich prawem, lecz obowiązkiem wglądanie w postępowanie matki, prostowanie jej błędów lub zapobieganie jej niedbalstwu.

Jakże jednak uczynić to mogą, jeśli nie mają najmniejszego pojęcia o pedagogii, jeśli psychologia, a zwłaszcza psychologia dziecka jest dla nich już nie „*du grec*”<sup>15</sup>, boć<sup>16</sup> czasem greczyzną znają wcale nieźle, lecz „*du chinois*”<sup>17</sup>?

Jeśli rola mężczyzny w rodzinie sprowadzić się ma do zera, jeżeli ma on być w domu kwartalnym dostawcą pieniędzy, wołem roboczym, który w jarzmie chodzi i tylko dla dobrej paszy na obiad i na kolację powraca, to można powiedzieć, że obecny kierunek jego wychowania jest zupełnie właściwy, wystarczający i odpowiadający celowi.

Jeżeli jednak taki stan rzeczy nie jest ideałem społeczeństwa, jeśli nie dosyć dobrą gwarancją szczęścia jednostek i pomyślnego rozwoju przyszłych pokoleń, to należałoby przede wszystkim kształcić i wychowywać chłopców w taki sposób, aby nie tylko zdolnych lekarzy, prawników, inżynierów, kupców, lecz także *dobrych mężów i rozumnych ojców* krajowi przysporzyć.

\*

Jakąż tedy<sup>18</sup> moralność wpajać winniśmy w nasze dzieci i jaką choćby w tym celu wyznawać sami?

Przede wszystkim, jak zaznaczyłam, moralność nie *na fałszu*, lecz *na prawdzie* opartą, na prawdzie w najszerszym jej rozumieniu, na zgodności i konsekwencji między myślą, słowem i czynem.

W tym celu jednakże należy nasze zasady moralne przystosować do natury ludzkiej, wymagań życia i warunków społecznych.

Nie żądamy cnót niewykonalnych, ażeby mogły być wykonywane. Liczymy się z życiem poważnie i wszczepiamy w nasze dzieci w pierwszym rzędzie takie zasady, których ciągle zastosowywanie i im samym, i innym za ich pośrednictwem najwięcej trwałego szczęścia przyczyni.

Jeżeli zaś mówię o przystosowaniu moralności do natury ludzkiej i wymagań życia, to bynajmniej nie mam na myśli jakiegokolwiek obniżenia naszych etycznych aspiracji. Natura ludzka jest znacznie bogatsza, niż to zdawać się może nam, którzy ją nieustannie fałszujemy i kaleczymy, ubożymy i krępujemy. Człowiek ogromnie wiele znieść, ogromnie wiele dźwignąć, zdziałać i zdobyć może — jeśli tylko ma do tego dość silne pobudki.

W tym znaczeniu zasada „mierz siły na zamiary” nie jest bynajmniej uludnym poetyckim frazesem, lecz zupełnie konkretną prawdą życiową. Siły nasze istotnie wzmagają się i potęgują odpowiednio do zamiarów i każda wielka chwila dziejowa dostarcza na to dowodów; trzeba jednak, ażeby one równolegle do tych zamiarów rozwijały się i rosły i aby zamiar nie powstał wtedy dopiero, gdy siły już roztrwoniono.

Przez wzmocnienie i potęgowanie dodatnich pobudek w naszych dzieciach wzmożemy ich dzielność i odwagę. Nauczymy ich *chcieć*, chcieć nie na krótki, kilkudniowy termin, z uporem dziecka domagającego się nowej zabawki, lecz chcieć na całą długość

<sup>15</sup>*du grec* (fr.) — po grecku (często o czymś niezrozumiałym). [przypis edytorski]

<sup>16</sup>*boć* — konstrukcja z partykulą wzmacniającą -ci, skróconą do -ć; znaczenie: bo przecież. [przypis edytorski]

<sup>17</sup>*du chinois* (fr.) — po chińsku; chińszczyzna, coś niezrozumiałego. [przypis edytorski]

<sup>18</sup>*tedy* (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

życia ludzkiego, z niezłomną wolą męża, który wie, dokąd i dlaczego dąży. Nauczmy je także przełamywać trudności i w tym ich zwalczaniu widzieć swą chlubę i godność. Nauczmy je szanować siebie i cenić ludzkie dostojeństwo, nie tylko w sobie, lecz w każdej choćby najniższej stojącej istocie ich gatunku. Nauczmy je ochraniać swoje siły i zdrowie nie przez instynkt samozachowawczy — gdyż jak słusznie jedna z autorek angielskich zauważyła, instynkt ten w młodości nigdy zbyt silnej nie stanowi pobudki — lecz przez szacunek dla swoich ludzkich przeznaczeń, przez głębokie przejęcie się swymi życiowymi zadaniami.

Istotnie, czyż człowiek zamierzający wielkich dzieł dokonać, narazi się na to, by w 25 roku życia stanąć u schyłku moralnego i fizycznego bankructwa?

A dalej wpajać musimy w nasze dzieci przekonanie, że życie nie jest sposobnością do używania, lecz do działania, i że tylko takie zgodne z naszą naturą i przeznaczeniem działanie istotne szczęście przynieść może.

Zadaniem wychowania moralnego powinno być nie skrzepowanie, lecz *wzbogacenie indywidualności*, wytworzenie w niej tyłu czynnych i pozytywnie działających potęg, by ona kipiała życiem i stała się ogniskiem życia w swym otoczeniu. Śmiała i samodzielna myśl, gorące serce, dzielne ramię, wysokie dążenia, nieustraszona odwaga, niewzruszona wytrwałość i niestrudzona praca, prawda w uczuciach, myślach i słowach, a mężne znoszenie wszystkich konsekwencji świadomie spełnionych czynów, miłość ogarniająca bliższe i dalsze kręgi myślących i czujących istot, przeszłe i przyszłe pokolenie ludzi — oto cnoty, które w synów naszych wychowanie wpajać powinno.

A jakież cnoty przeznaczamy dla naszych córek? Dosłownie te same. I im także potrzebny rozum, odwaga i męstwo, i im również potrzeba prawdy w uczuciach i słowach, i dla nich wytrwałość i praca są jedyną uczciwą do celu wiodącą drogą.

Dlatego też należałoby jednym systemem wychowawczym objąć i chłopców, i dziewczęta nasze, wychowywać je według wspólnych zasad ogólnie obowiązującej moralności i o ile tylko można, wychowywać je razem. Niechajby, zbliżając się do siebie przy nauce i zabawie, przy wspólnych pracach i razem spełnianych pożytecznych i dobrych czynach, będących dla jednych i drugich przygotowawczym ćwiczeniem moralnym, uczyli się poznawać i szanować wzajemnie, cenić w mężczyźnie i kobiecie człowieka. Niechajby przywykali patrzeć jedni na drugich nie jako na młodzież do tańca lub panny do flirtu, lecz jak na pomoc i podporę życia. A jednym i drugim należałoby tłumaczyć życiowe zjawiska i wyjaśniać, że miłość nie jest ani żakowskim wybrykiem lub kawalerską hulanką, ani salonową rozrywką i pokarmem dziewczęcej próżności, lecz źródłem życia i że kto to źródło mąci i zatruwa, ten zatruwa i mąci życie samo.

Jednym i drugim wreszcie trzeba by wpajać zamiłowanie do pracy. Niechaj nauczą się cenić ją samą przez się, a nie tylko jako środek do zdobywania wygod i przyjemności życia. Praca jest warunkiem zdrowia, ochroną od pokus, rękojmnią równowagi moralnej, musi to być jednak praca świadoma swych celów i swej wartości, praca, o jakiej Żmichowska mówi:

„Ofiarna z bogactwa duszy, nie z jej nędzy, ofiarna przez datek i przez prawdziwą, widomą ofiarę. Dla bliźnich ten tylko użytecznie pracuje, kto im ciągle coś ze siebie i ze swego dawać może: pieniądź, uczucie, jasność myśli, dzielność ramienia!”<sup>19</sup>

Żmichowska, u której znajomość życia i trzeźwość sądu łączyły się w przedziwną harmonię ze wzniosłym polotem etycznych dążeń, zrozumiała to doskonale, że wzbogacenie i spotęgowanie indywidualności ludzkiej nie tylko nie jest szkodliwe, ale jest wprost konieczne, jeśli moralność nasza ma się stać altruistyczna i społeczna.

Wyraziła to najdosadniej w następującym zdaniu:

„Nam trzeba cnót siły, cnót tryumfu, nam trzeba koniecznie cnót szczęścia, żeby inni w nas wierzyli i tak jak my cnotliwymi się stali. Pojedynczej duszyczki Bóg chyba teraz nie wpuści do Królestwa swego; to samolubne zbawienie postów i umartwień, długich pacierzy i ciasnego życia nie jest

<sup>19</sup> *Ofiarna z bogactwa duszy, nie z jej nędzy...* — Narcyza Żmichowska, *Poganka*, rozdz. VI. [przypis edytorski]

zbawieniem godziny dzisiejszej. Cierp, ale żeby braciom twoim weselej było na świecie, módl się, żeby nieprzyjaciołom twoim jaśniej było w duchu, to Bóg policzy kiedyś cierpienia i przyjmie modlitwy twoje”.<sup>20</sup>

A poza tym czegoż jeszcze dla podniesienia poziomu moralnego naszej męskiej czy żeńskiej młodzieży potrzeba?

Potrzeba jej nowych ideałów, ale nie naszą jest rzeczą to jej żądanie zaspokoić. Nowych ideałów nie fabrykuje się na zawołanie, nie robią ich starzy na użytek młodych pokoleń. Ideały młodzież sama stworzy.

Piełęgnijmy tylko starannie roślinę ludzką, niechaj rozwija się i rośnie w słonecznym blasku prawdy i dobra, niech czerpie zdrowe soki z rodzinnego gruntu, niech ją otacza ciepła i czysta atmosfera uczciwych prac i szlachetnych dążeń, a tak jak wiosna zdrowe drzewa świeżym kwieciami okrywa, tak nieuchronnie rozkwitająca w pomysłnych warunkach młodość blaskiem nowych ideałów zakwitnie.

---

<sup>20</sup>*Nam trzeba cnót siły, cnót tryumfu, nam trzeba koniecznie cnót szczęścia...* — Narcyza Żmichowska, *Poganka, Wstępny obrazek*. [przypis edytorski]

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/moszczeniaska-rzepecka-reformy-w-wychowaniu-moralnem/>

Tekst opracowany na podstawie: Iza Moszczeńska, *Reformy w wychowaniu moralnym*, Nakładem i drukiem M. Arcta, Warszawa 1903.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Sfinansowano ze środków Miasta Stołecznego Warszawy

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopec-Gryz, Aleksandra Sekuła, Wojciech Kotwica.

ISBN 978-83-288-6091-9

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przeznacz 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przeznacz darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).